

PETÖFI.

WYBÓR POEZYJ

przekład z węgierskiego.

przez

W. S.



WARSZAWA.

Wydawnictwo Dziel Tanich A. Wiślickiego.

1879.

78963

kleśce



Дозволено Цензурою,
Варшава, 3 Юля 1879 года.

339346

51

W Druk. Przegl. Tygodniowego, ulica Czysta № 2.

J/37/2012 P

PROCTWO.

„Mówiłaś, matko, że dłoń niebiosów
Snuje marzenia prorocze,
I że sny nasze są jak przezrocze
Przyszłych kolei i losów.
Matko! ja miałem sen zeszłej nocy,
Rozświeć mi jego mamidła....
Pędził mnie wichur zbrojnego w skrzydła
Aż do stóp tronu Wszechmocy”.

„Synu mój nie drżij wśród życia burzy,
Lecz ciesz się dziecię me drogie,
Bóg ci da życie długie i błogie,
To sen ci wieści i wróży”.

I wyrósł młodzian—młodością wrzącą
Zawrzał wśród równych najwcześniej,
Śpiewając ludziom ogrzewał pieśni
Ciepłą krwią w żyłach drgającą.
Dłonią pieśniarskie ujął narzędzie,
Przelał w nie uczuć swych dźwięki,
I w świat płynęły jego piosenki
Jak smutne białe łabędzie.

I wzbił się w górę w świetnych gwiazd koło,
 Co chwałą narodom płoną;
 Gwiazd tych promieniem, niby koroną
 Geniusz przyoblekł mu czoło.
 Ale tron pieśni to głos rozbicia,
 Śpiewak oddawał za chwałę
 Kwiaty swej duszy, serce swe całe
 Z każdą pieśnią—część życia.
 Płomień serca piekłem się stały
 Kapłan padł pastwą ofiary.
 Ogień przepalił życia konary
 Prócz jednej gałązki małej. —
 I oto upadł na śmierci łożo
 Syn męki życia trawiącej,
 A biednej matki, głos bolejący
 Na sądy powstawał boże.
 „O wstrzymaj, wstrzymaj niszczące ramię
 Nie bierz go śmierci Aniele!
 Bóg mu obiecał życia tak wiele
 Czyliż głos bożych snów kłamie?”
 Matko! sen jego prawdą był Bożą,
 Cóż stąd że zamknie te oczy,
 Gdy jego imie chwała otoczy
 Niezgasłą na wieki zorzą.

P O E Z Y A.

Jakżeś to poniżona, o poezyo święta,
 Jak źle cię sądzi grupa wierszarzy nadęta!
 Ci właśnie, którzy twymi chcą być kapłanami,
 Plemię z prochu wylęgłe w proch cię ciągną sami.

Nienamaszczeni wieszczę głoszą na wsze strony
 Żeś ty salą, do której wstęp nam zabroniony,
 Gdyż by mieć prawo próg twój przestąpić bogaty
 Trza mieć błyszczące buty, eleganckie szaty,
 Ułożenie światowe i maniery modne...
 O milcz! plemię kłamliwych proroków niegodne!
 Przestańcie z prawd najświętszych robić pośmiewisko!
 Poezya nie jest wcale salą towarzyską,
 Gdzie się schodzi pleść głupstwa zgraja rozmaita,
 Ów chwast podły, z którego wszystko złe wykwita...
 Poezya jest świątynia, rozwiera podwoje
 Tym, co się cieszą i tym co łez leją zdroje,
 Wszystkich ona swych boskich uczni karmi rosą,
 Choć wchodzą z podkutemi podeszwymi=lub boso!...

MOJA FANTAZJA.

Jakież to znów słyszę głosy?...
 Że ciągle pełzam po ziemi,
 Że nigdy skrzydły orlemi
 Nie wzlatuję pod niebiosy;

Tak! fantazja ma skrzydłata
 Gdy chce — ziemi nie odlata;
 Nawet pod nią śle swe oko,
 Niekiedy bardzo głęboko.

I z zapalem zgłębia, bada,
 Świat tajemny, niezbadany,
 I z rozkoszą się zapada
 W serc człowieczych oceany.

Ale kiedy powiem do niej:
 Wznies się w górę, na wyżyny...
 Szybsza od leśnej ptaszyny,
 Wzlatuje i piosnkę dzwoni.

Gdy ją głos mój znów podnieci,
 Ma fantazya wyżej leci,
 Ścigam wtedy jej połotem
 Orły pod niebios namiotem.

A gdy orzeł się już zmęczy,
 Ona dalej w blasku tęczy
 Lotem równym mknie do góry,
 Gdzie najwyższe błędzą chmury.

Lecz i z chmur gromadką białą
 Nie jest długo... wnet ją mija,
 I mknąc dalej prosto, śmiało,
 Sklepienie niebios przebija.

A naówczas, gdy się zdarzy
 Że blask słońca cień zakrywa,
 Ona znowu w lot się zrywa
 Ku posępnej słońca twarzy.

Patrzy w jego twarz zaćmioną,
 Zgasłych szuka w niej promieni,
 Przez zasłonę co je cieni
 Wnika śmiało w jego łono...

Wówczas jeszcze nie przerywa
 Nadpowietrznej swojej jazdy,
 Wzlata ciągle i przybywa
 Aż po nad najwyższe gwiazdy...

Tam gdzie dalej już nie sięga
 Niezmierzony wszechświat boży,
 I tam jeszcze jej potęga
 Nowe światy sobie tworzy.

POETA I WINO.

Nie chcę by mi w podarek
 Dano wieniec laurowy,
 Inny dar od madjarek
 Przyjąć jestem gotowy.

Gdy chcą głowę niech moją
 W liście winne przystroją...
 Bo liść winny, syn pieśni
 W swej są doli rówieśni.

Los tak samo uczynny
 Wieszcza i krew obdarza,
 Wina duszą płyn winny,
 Pieśń jest duszą pieśniarza

Gdy się dusza rozplynie
 Czy to w pieśni, czy w winie,
 Krzew i pieśniarz umiera,
 A świat sobie zabiera
 Ich spuściznę jedyną:
 Wdzięczną piosnkę i wino.

KRAINA MIŁOŚCI.

Niedawno temu dziwnie śniłem,
 Sam nie wiem czym spał wówczas czy na jawie byłem,
 Wiem tylko że marzenie miałem,
 A takim ono było pięknem, tak wspaniałem,
 Że dziś gdy piórem pragnę wskrzesić je do bytu,
 Jeszcze mi ręka drży... z zachwytu.

Kroczyłem niby drogą, co jak oko sięga
 Przez step się wiła jak szeroka wstęga,
 I odbywałem podróż zmudną
 Jakąś krainą czczą i nudną,
 Gdzie się na każdym kroku spotykałem z rojem
 Ludzi bez ognia, woli, siły,
 Postaci ciężkiej i nie milej,

Z wypisanym na czole opasłym spokojem.
 Więc szedłem szybko, pragnąc jak najprędzej
 Utracić z oczu nudne te obszary,
 I wstrętne istot tych maskary
 Z wyciśniętem na czołach piętnem ducha nędzy.

Przyszedłem tak nareszcie przed mur okazały;
 Wyryte na nim głoski tęczowej jasności
 Przychodniowi oznajmiały:

„Kraj miłości.”

Zabiło mocniej serce moje,
 Gdym wszedł w podwoje
 I próg przestąpił pierwszy robiąc krok.
 Niebiańsko piękny widok uderzył mój wzrok,

Miałem przed sobą ziemię tak wspaniałą,
 O jakiej wieszcz lub malarz wyobraźnią śmiałą
 I snami marzy natchnionemi,
 Krainę niepojętą dla mieszkańców ziemi,
 Nad którą raj piękniejszym blaskiem nie jaśnieje.

Obszerna, kwietna błoń, stworzona do marzenia,
 Różany w okół las, co sięga nieb sklepienia

I wciąż balsamy woni leje, —

Przejrzysta ręka środek ziemi tej umiła,

A jej prąd kryształowy zwraca się co chwila

Ku stronom z których wypłynęła w dal,

Jakby jej rzucić było żal

Tę precudowną, kwietną błoń,

Tych drzew i kwiatów urok, barwę, woń. —

I dziko romantyczne skały

Nad brzegiem jej powyrastały,

A złote chmury jak pierścieniem włosów

Ubrały szczyty tych kolosów.

Spoglądałam w zachwycie na tę ziemię snów,
 Wejść do niej sił mi brakło, wielbić brakło słów,

Zostałem długo u jej proga,

Aż wreszcie ziemia ta stokrotnie błoga

Zwabiła mnie swym czarem i wstąpiłem do niej.

„Tam po za rzeką, jeśli ją przepłynę, —
 Myślałem, — tam miłości zobaczę krainę!”

Poszedłem na brzeg, wsiadłem w łódź,

Zacząłem szybko wiosłem srebrne fale próc,

Lecz zamykałem oczy, bo na grzbiecie fal

Co chwila płynął siny trup młodzieńca w dal,

Petőfi. Poezye.

I jak przelękle żaby wskakiwali w wodę
Z nadbrzeża chłopcy i dziewczęta młode.

Przepłynąłem nareszcie nurt rzeki szeroki,
Ale i tam te same ujrzałem widoki:
Gdziebądź spojrziałem w okolicę,
Wszędzie wisielcy, topielce,
Albo ze skał sterczących w dali
Dziewczęta i młodzieńcy w przepaść się rzucali,
A wrząca krew z ich serc i mózg z ich skroni,
Rozbryzgiwały się po błoni.

Błądziłem w koło przerażony
Po tej krainie krwią zbroczonej,
Lecz ten sam widok ze wszech stron,
Zwątpienie, rozpacz, samobójstwo, zgon.

I śmiał się tylko niebios sklep
I cudnem kwieciem wonny step
Rozpromienionem swem obliczem,
Jakby nie wiedział nic o niczem,
Błękitny w górze, kwitnący na dole,
Z spokojem wiecznym na uroczem czole.

MIŁOŚĆ I WOLNOŚĆ.

Miłość! wolność!... w dni moich rozkwicie
Duch mój z niemi w ścisłą wszedł zażyłość...
Za mą miłość dam w zamianie
Życie,
Za wolności odzyskanie —
Miłość!

M O J A M I Ł A.

PIOSNKA.

Chciałbym być potokiem
I szumiąc wspaniale,
Z gór nieścigłych okiem
Toczyć swoje fale,
Gdyby moja miła
Małą rybką była,
Pływała ochoczo
Z falą mą przezroczą.

Chciałbym ja być lasem,
Dąbrową zieloną,
I strumienia pasem
Swe przystrajać łono,
Gdyby moja miła
Ptaszkiem małym była,
Gniazdko w lesie słała
Piosnki w niem śpiewała

Chciałbym być ruiną
Nad skały urwiskiem,
Lat co szybko płyną
Posepnem zwaliskiem,
Gdyby moja miła
Barwinkiem mi była
I w zielone dłonie
Me objęła skronie.

Chciałbym ja być chatką
 W dolinie lub górze,
 Której strzechę gładką
 Drą i szarpią burze,
 Gdyby moja miła
 Ogniem w chatce była,
 By jej ciepło całą
 Chatkę ożywiało.

Chciałbym ja być chmurą
 I przez wiatry gnany
 Pomykać się górą
 Nad lasy i łąny,
 Gdyby moja miła
 Zorzą zmroku była,
 W blade lica moje
 Lała blaski swoje.

WIĘC PATRZ!

Ten świat jest wielki, tyś tak mała,
 O gołębico moja biała...
 Gdybym cię miał, za światy całe
 Nie oddałbym cię, ptaszę białe.

Ty jesteś dniem, jam nocą ciemną,
 Gdybyś się złączyć chciała ze mną,
 Oh! jakążbyśmy jasną zorzą
 Opromienili ziemię bożą!

Oh! nie patrz na mnie!... W twem spojrzeniu
 Ma dusza gore jak w płomieniu,...
 Lecz ty nie kochasz mnie!... Więc dalej
 Patrz—niech me serce wzrok twój spali!

WYSEPKA.

Czyś widziała, moja białolica
 Prąd Dunaju i wyspę wśród rzeki?...
 Tak ja obraz twój co mnie zachwyca
 W środku serca zamykam na wieki.

Zieleniące rzecznej wyspy drzewa
 Liście swoje nurzą w rzeki łono,
 Oh! tak zanurz moja czarnobrewa,
 W sercu mojem nadzieję zieloną.

SPOTKANIE W STEPIE.

Step taki gładki jak jezioro,
 Bogaty powóz drogi szlakiem
 Posuwa się, a mknie tak skoro,
 Jakby mu piorun był rumakiem.
 Ma cztery konie, lecz choć droga
 Równa i gładka jak podłoga,
 Choć konie rącho biedzby chciały,
 Nagle zatrzymać się musiały.
 Cóż to? czy koło się złamało?
 Czy ciężar skruszył oś stalową?
 O nie! i nie to i nie owo,
 Lecz do woźnicy przybiegł śmiało

Syn Puszczy, władca stepu błoni,
 Krzyknął, pistolet mając w dłoni,
 By pojazd stanął, bo wypali,
 Woźnica nie śmiał ruszyć dalej.
 W powozie słaby głosik płacze,
 Jakoby dziecię lub ptaszyna,
 Rozbójnik myśli: „Ha! zobaczą
 Co tego głosu za przyczyna...”
 Zagląda śmiało, a w karecie
 Przecudne dziewczę, prawie dziecię,
 „Litości! łaski!” błaga, wzywa,
 A przestrasz słowa jej przerywa.
 Oczarowany król stepowy
 Przemawia do niej temi słowy:
 „O piękna pani, nie drzej wcale,
 Przemocą nikt cię nie zatrzyma,
 Lecz wprzódym się ztąd oddałę
 Racz na mnie rzucić raz oczyma”.
 Dziewczę stworzone niesłychanie
 Na rozbójnika oczy wznosi,
 A on się zbliża i znów prosi:
 „Pani! ja jeszcze mam żądanie...
 Pozwól mi dotknąć swojej ręki...
 Dajesz ją!... nieba!... więc ja mogę...
 O pani! dzięki! dzięki! dzięki!
 O jedną łaskę jeszcze błagam,
 Jedyną, więcej nie wymagam,
 Innej nie będę żądał dani...
 O... pocałunek... Płoniesz pani...
 Oh! jeśli z gniewu, to się zrzekam
 Tej drogiej łaski... w step uciekam,

Bo taki dar gdy gwałtem wzięty,
 To cała słodycz jego znika...
 Niech panią Bóg ma w pieczy świętej,
 Zapomnij pani rozbójnika...
 Który..." Tu zbrakło mu wymowy
 I tylko spał ostrogą konia,
 I jak najszybszy wichr stepowy
 Popędził przez zielone błonia...

K A R C Z M A R K A .

Gosposiu! piękna jak kalina,
 Wina!... spragniony jestem srodze!...
 Do Hortobagy z Debieszyna
 Jest kawał... nic nie piłem w drodze.

Powiewa wichur groźny burzą,
 Ciało i duch lodowacieje,
 Rzuć na mnie okiem, moja różo,
 Blask twoich spojrzeń mnie rozgrzeje.

Gosposiu! kwaśne wino twoje,
 Czyż się je gościom dawać godzi?
 Niech za pokutę usta moje
 Całus twych pięknych ust osłodzi.

Piękna kobieta... mocne wino...
 Nogami prawie już nie władnę...
 Gosposiu! twoją to jest winą...
 Uściskaj jeszcze... nim upadnę...

Raz jeszcze... prośbę miej na względzie...
 Pozwól mi spocząć na twem łonie...
 Dziś moje łóżko twardem będzie,
 Bom ja tu obcy w waszej stronie.

L I L I O M P E T I.

Mały Liliom czasu swego
 Był chłopakiem śmiałym,
 Nie znalazłbyś podobnego
 Na tym świecie całym.

Nie dbał czy koń ma narowy,
 Gdy kładł nogę w strzemię,
 A smok by go siedmiogłowy
 Nie zwałił na ziemię.

Wino, coby pięciu chłopom
 Nogi odebrało,
 Zda się, że Lilioma stopom
 Siły dodawało.

Gdziebądź lotem błyskawicy
 Przybył w odwiedziny,
 Wszystkie za nim z okolicy
 Szalały dziewczyny.

KŁOPOTY SPRAGNIONEGO CZŁOWIEKA.

Ach! jak dola ma jest smutną!...
 Wszak już próżne mam kieszenie...
 Próżniuteńkie!... czyste płótno...
 Jednak dręczy mnie pragnienie!...

W gardle mam bezdenną studnię,
 Słońce pragnienia zaczyna
 Palić mnie jakby w południe...
 Ach! gdyby to spadł deszcz wina!...

Deszcz wina!... Ha! na bok żarty!...
 Gdyby tak z chmury w istocie
 Zaczęły lać wina kwarty,
 Nie byłbym w takim kłopotcie!...

Po ojcu winnicę miałem,
 Sprzedałem przeszłego lata,
 Pieniądze jakie dostałem
 Przez gardło poszły do kata.

Oddawna na moją biedę
 Nieczuły karczmarz nie zważa:
 „Dziś darmo, jutro na kredę”,
 Oto są słowa Karczmarza.

Ach! coś mi jeszcze zostało! —
 Myśl mi przychodzi do głowy...
 Wszak zastawić mogę śmiało
 Mojej żony czepek nowy.

Tak... lecz przypominam sobie,
 Żem utracił mą kochaną,
 Wraz z jej ciałem w jednym grobie
 Piękny czepek zakopano.

Po cóż sobie przypomniałem
 Śmierci żony smutną chwilę?...
 Tyle po niej łez wylałem
 I teraz ich leję tyle...

Płaczą po niej bracia, krewni,
 Lecz gdyby łzy co z ocz płyną
 Mogły się zamienić w wino,
 Och! płakałbym stokroć rzewniej!

UWAGA GŁODNEGO.

Dobrze, że bogowie dali
 Człowiekowi zęby z kości,
 Bo gdyby były ze stali,
 Rdzewiałyby w beczynności.

ELEGIA KSIEŻYCA.

O mój Stwórco! za cóż dłoń mnie twoja karze?
 Czemum nieszczęśliwy bardziej nad nędzarze?
 Wolałbym być sługą na razowym chlebie,
 Niżli królem nocy na wysokiem niebie,
 Wolałbym na ziemi torbę, kij, łachmany,
 Niż tu siedzieć płaszczem srebrnym przyodziany,

Wolałbym w szynkowni od zaduchu kichać,
 Niż tu cudną wonią kwieci-gwiazd oddychać!...
 Wieczny Sędzio! kiedyż lepszy los mnie czeka?
 Na mnie i pies każdy i wieszcz każdy szczeka,
 Wszyscy co niekiedy rym przypadkiem złapiają,
 Co chcąc wzruszać serca, uszy tylko drapiają,
 Myślą, że im wtóry do ich skomleń nuceją,
 Lub że dobrodusznie wraz z nimi się smuceją.
 Bładym, prawda, ale nie z bólu lecz z złości
 Na tych wszystkich beksów wszystkich tych ichmości,
 Co mnie, ile razy noc rozjaśnię ciemną,
 Nudzą jakby zjedli beczkę soli ze mną.
 Czasem przyjdzie taki na którego czole
 Dostrzedz mogę z góry boską aureolę,
 Pieśniarz namaszczony! Taki gdy zaśpiewa
 Blask mój czyściej, żywiej na świat się rozlewa.
 Ale nim się kiedy taki piewca zjawi,
 Tysiące miłych krzykaczów dni me truje, krwawi,
 Bo niezmiernie mnożny jest ten ród próżniaczy,
 Lat nieurodzajnych nie ma na bazgraczy.
 Drzę co noc, gdy śpieszę przez niebiańskie krzaki,
 By mnie nie napotkał gdzie krzykała taki.
 Ah!... znów jeden... patrzcie!... jak skrzydła wia-
 Tak bujają małpie ręce nieboraka, [traka
 Zda się, że je cisnąć chce za dziesięć płotów,
 Biedny! nie ma kogo objąć w nie — a gotów!
 Wzdycha jako cygan kiedy dostał kije,
 Żyły mu nabrzmiały, serce strasznie bije,
 Błaga mnie, bym zajrzał do jego jedynej,
 Jak tam ona pędzi wieczorne godziny...
 Ha, cóż?... zajrzę!... Bratku! twa gołąbka miła
 Właśnie chwilę temu głowę w piec włożyła,

Chcąc ukradkiem dobyć kartofel pieczony,
 I na węgiel spiekła swą twarz z prawej strony,
 Teraz płacze głośno i grymasy stroi,
 Gęba jej skrzywiona bardzo—godna twojej...
 No! wiesz coś chciał wiedzieć, a więc ruszaj dalej,
 Niech cię djabli porwą albo piorun spali!

CHATKA W LESIE.

Jak serce pierwszą miłość swoją kryje,
 Tak biedną chatę kryją gór ławice,
 Dach jej nie zadrży, chociaż burza wyje
 I uraganem mknie przez okolice.

Szeleszczą liście niewielkiego gaju
 Świeżością, życiem, wionąc nad jej strzechą,
 Zięba wesołą nuci pieśń o maju,
 Gołąbka grucha, wtóruje im echo.

I strumień, bystry jak jeleni ścigany,
 Z głuchym łoskotem z gór spada w doliny,
 Brzeg jego cały kwiatami usłany,
 Co patrzą w wodę, jak w lustro dziewczyny.

W okółko kwiatów wesoło i gwarnie,
 Jak kochankowie, tańczą pszczoły młode,
 Uścisk namiętny chcą zerwać bezkarnie,
 Chcą zerwać drugi... i spadają w wodę.

Z drzew listki w pomoc im rzuca zielone
 Wiatr, co kochanków niedołą się wzrusza,
 A złote słońce, również rozrzewnione,
 Ich zmokłe skrzydła swem ciepłem osusza.

Nieco w oddali, gdzie wzgórek niewielki
 Owiec gromadka pasie się wesółą...
 Owca i pszczoła to dwie karmicielki
 Tych nędznych chatek co stoją do koła.

Biała gołąbka i zięba szczebiotka
 Potrzasku tutaj napotkać nie mogą,
 Bo wiedzą dobrze jak wolność jest słodka
 Ci, którym ona nad wszystko jest drogą.

Tutaj niewoli nie ma, głos despoty
 Nie więzi ludów swym groźnym rozkazem,
 I tylko burzy piorunowej grzmoty
 Są woli bożej jedynym wyrazem.

A Bóg ten dobry nie gniewa się długo
 I gromem burzy prostaczków nie dręczy,
 Lecz krasi niebo różnowzorą smugą
 Swego uśmiechu — siedmiobarwnej tęczy.

NA LUDOWĄ NUTĘ.

I.

Czy to nie sny złudne?
 Czy mam wierzyć oku?
 Dziewczę-ż to jest cudne,
 Czy wieszczka z obłoku?

Jedna jest czy druga,
 Mniejsza, — w tem rzecz cała,
 Żeby mnie niedługo
 Pokochać zechciała.

II.

Dojrzeje wkrótce zboże,
 Kłos ciężki już się chyli,
 Na przysły tydzień może
 Będziemy je kosili.

W mem sercu też dojrzewa
 Kochanie, miłość stała,
 Przyjdź słodka czarnobrewa,
 Bo czas byś ją zebrała.

III.

Co płynie tam w uboczu?
 Strumyka fale czyste,
 Co płynie z twoich oczu?
 Ah! to są łzy przejrzyste!

Niech strumyk wolnym biegiem
 Swą czystą sączy wodę,
 Nad jego przez to brzegiem
 Zakwitną kwiaty młode;

Lecz z twoich ócz, dziewczyno,
 Z nadobnej twojej twarzy,
 Niech nigdy łzy nie płyną,
 Bo kwiat twych łic się zwarzy.

IV.

Las rozkoszne ma ptaszyny,
 Kwiecie mają łąk równiny,
 Niebo jasnych gwiazd ma roje
 Ma i chłopiec dziewczę swoje,

Skrzy się gwiazda, ptak pieśń dzwoni,
 Kwiatek kwitnie wpośród błoni,
 A ich wzorem czarnobrewa
 Promienieje, kwitnie, śpiewa.

Wszystko zatem szczęściem płonie,
 Chłopiec, niebo, las i błonie,
 Lecz, niestety! kwiat usycha,
 Gwiazda spada, ptak ucicha,

A dziewczęciu przeznaczono
 Zostać z lubym, być mu żoną, —
 Chłopcowi więc w szczęśliwych kole
 Najszczęśliwszą los dał dołą.

V.

Fajka mi zagasła w drodze,
 Więc do chatki małej wchodzę,
 Żeby, jeśli się tam pali,
 Dostać ognia i pójść dalej.

Dawnom fajkę już zapalił,
 Jednakżem się nie oddalił,
 Bo wstrzymały się me oczy
 Na dziewczynie, na uroczej.

Przyglądałem się dziewczynie,
 Ogień buchał na kominie,
 Lecz nad ogień oczy miłej
 Płomienisciej się paliły.

Padły na mnie ócz tych żary
 I za ledwie dałem wiary:
 W fajce ognia znów nie było,
 Lecz me serce się paliło.

VI.

„Oj deszcz całusów pada
 Z twych lic na moje lica,
 Ma dusza tak im rada,
 Tak serce się zachwyca!”

„Zazwyczaj gdy ulewa
 Bywają błyskawice,
 Są niemi, czarnobrewa,
 Ogniste twe źrenice...”

„Bywają też i grzmoty,
 Gdy się na słotę zbierze,
 Uciekaj, Janku złoty,
 Bo ojciec cię spostrzeże.”

PAŁAC I CHATKA.

Dumy gmachu, czemś nadęty?
 Czy wielkością swego pana?
 On się stroi w dyamenty,
 By pierś okryć, bo skalana,
 Zrzućmy te wspaniałe stroje,
 W które zdobią go sług roje,
 Gdy łupina spadnie droga,
 Czyż zostanie dzieło Boga?...

Zkąd twój pan wziął skarby całe,
 Którymi się tak buńczuczny?
 Ztąd zkąd sokół ptaszę małe,
 Co swą ciepłą krwią go tuczy.
 Ze krwi schwytanego ptaka
 Wielka uczta dla sokoła,
 Matki swej z bliskiego krzaka
 Grono piskląt próżno woła...
 Pokaż, dumny, jakie blaski
 Rzucają skarby skradzione,
 Jaśniej niemi!... z niebios łaski
 Twoje dni już policzone.
 Oh! nim moje dni upłyną,
 Bodajbym mógł ujrzeć ciebie,
 Jak pod murów twych ruiną
 Dumny panów ród się grzebie!...
 Przy pałacu, chatka mała,
 Czemuś skromna i pokorna
 W pośród liści się schowała?...
 Ukryć chcesz, żeś niepozorna?...
 Przyjm mnie gościem biedna chato,
 Ja nie wierzę strojnej szacie,
 Nie chcę blasku, wiem że zato
 Znajdę serca w małej chacie.
 W święte twoje progi wchodzą
 Ludzie potem pracy złani,
 Wielcy się w pałacach rodzą,
 Lecz tu rodzą się wybrani,
 Z małej chatki wiedzie ścieżka
 Na Golgotę poświęcenia,

A jednak lud co w niej mieszka
 W nędzy wlecze dni istnienia.
 Biedni! przejdzie ciemność nocy,
 I wam zalsni promień słońca,
 Wczoraj, dziś nie w waszej mocy,
 Lecz wasze jutro bez końca
 Próg przybytku cichej pracy
 Z czystą myślą przestąpiłem,
 Błogosławcie mi biedacy,
 Jak ja wam błogosławiłem.

WIECZÓR WIEJSKI.

Słońce zaszło za góry,
 Świat zapada w mrok, ciszę
 Wietrzyk liśćmi kołysze,
 A opodal z za chmury
 Wychyla się marząca
 Błada postać miesiąca,
 I powiewnie tak wzlata
 Jak nad zwykły gwar świata
 Wyobraźnia skrzydlata.
 Ludziom z grodu wielkiego
 Niczem wieczór ten boski,
 Uczuć może czar jego
 Tylko prosty syn wioski.
 Młody chłopiec, dziewica
 Ze swych chatek wychodzą
 I piosenkę zawodzą,
 Co słowika zachwyca,
 Tak że śpiewak majowy

Łączy głos swój z ich śpiewem.
 A w oddali, pod drzewem,
 Mały pasterz wioskowy
 Przygrywa im najczulej
 Na wierzbowej fiwulji.
 Przed nim płomieni ogniska
 Uśmiecha się, skry ciska,
 Kłęby dymu śle w harce,
 Więc nim sen nim owładnie
 Pastuszyna gra ładnie
 Na wierzbowej fujarce.
 Depczą woły i konie
 Po zielonej murawie,
 Zda się noga ich tonie
 W świeżej rosie i trawie...
 Jeszcze chwilka... malutka...
 Tam w pobliżu skrzypnęło,
 Coś się, jak drzwi ogródka,
 Odemknęło, zamknęło.
 Pasterz żywo się zrywa
 I tęgiego mknie kłusa!
 Cóż się spotkać spodziewa?...
 Dziewczę młode, całusa...
 Któż to bowiem w tej porze
 Przez ogródek wyjść może,
 Gdy nie jego kochańa,
 Z pośród wszystkich wybrana!...
 Pędźcie życie motyle,
 Gdy was szczęścia czas mami...
 Oh! gdybym mógł choć chwilę
 Tak szczęśliwym być z wami!

ŻYCIE BŁĘDNE.

Przebóg! święty Kleofasie!
 Cóż to za tłum odrapany
 Wędruje tu o tym czasie?...
 Ach! to wołoskie cygany!...
 Cóżby znaczyły inaczej
 Te kupy dzieci i ten tłum próżniaczy?
 Patrzcie! oto pod lasem zielonej jedliny
 Ta piękna banda czarnych właśnie postępuje...
 Uważajcież... Najsamprzód naczelnik rodziny
 Na starej, dychawicznej szkapie paraduje.
 Nie szłaby, ale jeździec po bokach ją grzmoci,
 A jego syn za uzdę ciągnie aż się poci.
 Bo też prawda, że biedne, sędziwe stworzenie
 Nie ma zębów, a przytem jakież jej istnienie?
 Dola pracy bez końca, połączonej z postem,
 Więc że stąpać niezdolna jest to bardzo prostem.
 Gdybyż sam tylko ojciec rodu na jej grzbiecie
 Zasiadał, byłoby to jakotako przecię,
 Lecz oto z obu boków sakwy zawieszono,
 Obydwie skrupulatnie dziećmi napełnione,
 Ile ich tam, to trudną do zbadania rzeczą,
 Dość, że aż uszy bolą tak te bębny beczą.
 Z miejsca jakie dostały widać się nie cieszą,
 Lecz jeszcze trudniej dla nich byłoby iść pieszo.
 Drą się tedy dzieciaki okropnie, zażarcie,
 I nie miałyby przerwy i końca to darcie
 Gdyby patriarcha rodu od czasu do czasu
 Kopiąc nogą nie tłumił na chwilę hałasu.

Kobiety, małżonkowie, chłopcy, sznurem długim
Ciągną dalej parami lub jeden za drugim,
Ten żuje prymkę, aż mu piana z gęby pryska,
A tamten kłęby dymu w oczy innym ciska
Z tytoniu, który wonią nie grzeszy, a pali
W oczy, w gardło, jak gdyby z pieprzem go zmieszali.
Wreszcie na długim sznurku ukradzione prosię
Wędruje z kwikiem... widać iż wie o swym losie,
Że przeczuwa iż padnie żarłocstwa ofiarą,
Iść bowiem dobrowolnie nie chce żadną miarą.
Matkę rodziny taka opozycya gniewa,
Więc gniewem uniesiona kij długi porywa,
I tak długo okłada tłusty grzbiet prosiaka,
Że wreszcie do pochodu zmusza nieboraka.
Takim pochodem, liczną, nierozłączną rzeszą
Z miasta do wioski, z wioski znów do miasta śpieszą
Ci dzielni, co niczego się nie obawiają
Prócz wiatru... O! wiatrowi nisko się kłaniają,
I robią nader mądrze, wiatr bowiem czasami
Obchodzi się nieludzko bardzo z cyganami
I kiedy im do uszu szeptać pocznie nocą,
To takie rzeczy prawi, że nogi dygocą
Jako liście na drzewach... Ztąd zatem cyganie
Wielkie zwykli dla wiatru mieć poszanowanie.
Lecz kiedy pan wiatr siądzie na swoim rydwanie
I galopem poleci w odległe krainy,
Wesołość wnet odradza się wpośród drużyny,
A smutek zmykać musi w piekielne otchłanie.

POWÓZ O CZTERECH WOŁACH.

Nie było to w Peszcie pono,
 Tam nie bywa tak, zakaty!
 Rozsiadło się zacne grono
 W powozie dość starej daty,
 Wprzężono wołów dwie pary,
 Nie zdziwiło to nikogo,
 Cztery woły wielką drogą
 Prowadziły powóz stary.

Noc dość widna, twarz miesiąca
 Z chmur wyjrzała czasem chwilę,
 Błada jako bolejąca
 Wdowa na męża mogile.
 Miły wietrzyk na obszary
 Roznosił woń łąnow błogą,
 Cztery woły wielką drogą
 Prowadziły powóz stary.

Inni gwarzą drogę całą,
 Lub do śpiewu łączą głosy,
 Dla mnie miejsce się dostało
 Przy dziewczeczce jasnowłosej.
 I w gwiazdzistych nieb obszary.
 Patrzyliśmy gwarząc błogo,
 Cztery woły wielką drogą
 Prowadziły powóz stary.

„Patrz, co gwiazdek na tem niebie, --
 Mówiłem do niej w marzeniu, —
 Wybierzmy jedną dla siebie,
 Niech dla nas na nieb sklepieniu

Swego światła zlewa czary..."
 Wybraliśmy gwarząc błogo,
 Cztery woły wielką drogą
 Prowadziły powóz stary.

SĄD OSTATECZNY.

Nie! nie mam prawa być zazdrosnym wcale,
 Boś ty nie moja, aniele mój święty,
 Niekiedy przecież zazdrością się palę,
 I w proch upadam piorunem jej tknięty.

Świat wówczas w oczach moich się zapala,
 Wzrok mój olśniewa i myśl onieśmiela,
 I do mych uszu dolatuje zdala
 Złowrogi odgłos trąby Stworzyciela

Tak! archanielska trąba grzmi z daleka,
 Dźwięk jej zabija mnie i w prochu grzebie,
 A Bóg ostatni sąd na mnie wyrzeka:
 „Piekielne męki na wieki dla ciebie!”

BAWCIE SIĘ!

Baw się, wesoła drużyno,
 Ja ci już nie towarzyszę,
 Śmiech, pustota, piosnka, wino
 Troski mej nie ukołysz.

Czemu głowa myślić zdolną?...
 Patrzcie, jakim ja szalony,
 Myślę dziś, gdy śmiać się wolno
 O przyszłości mgłą przyćmionej.

Przyszłość... pełne burzy słowo...
 Wszystkich nas położy w grobie...
 A czy znajdziem się na nowo?
 Czy dowiemy się o sobie?...

Może!... lecz wprzód w dół cmentarny
 Każdy musi być złożony,..
 Oh! jak żywot nasz jest marny,
 Jeśli nie jest nieskończony!...

NA GROBIE ETELKI.

I.

Zbudziłem się.. Słońce młode
 Pieści światłem ziemię, wodę,
 Biedne chaty, pyszne wieże,
 Śpiewne ptaki, kwiaty świeże.

Na fali co szybko płynie,
 Na górze i na dolinie,
 Na motylku co w dal leci,
 Wszędzie uścisk jego świeci.

Czemuż słońce tak wesoło
 Swe uściski rzuca w koło?...
 Nie widziało do tej chwili
 Grobu, w którym cię złożyli.

II.

Znów jestem tutaj... wie dzie mnie cierpienie...
 Strażnik twych prochów znów staje przy tobie,
 Powiedz mi luba, jakie tam marzenie,
 Jaki sen pierwszy miałaś w zimnym grobie?

Jam miał sen straszny... Od słońca napaści
 Ziemia szalonym uciekła lotem,
 Lecąc spadała do głębin przepaści
 To znów bujała aż pod nieb namiotem.

Niezmordowane słońce wciąż ją gnało,
 Przez nieskończoności, bez chwili wytchnienia,
 Wszystko w wszechświecie kruszyć się zdawało,
 I gwiazd myrjady i otchłanie cienia.

Słońce po całej wszechświata przestrzeni
 Ścigało ziemię po za bytu metę,
 Wreszcie porwało za warkocz z płomieni
 W szalonym gniewie ogromną kometę...

Ziemia się przed tym ciosem uchyliła,
 Padł on w me serce... Boleść była wielką,
 Ale nie taką, jaką mi skrwawiła
 Duszę śmierć lubej, śmierć twoja, Etelko.

P O D Z W O N N E.

Dzwony śpiewają żałośnie...
 Dla kogo?... dla mojej róży,
 Którą zmiotł mi podmuch burzy
 W piętnastej zaledwie wiosnie.

Jej trumna stoi w świątyni
 Żałobnie przyozdobionej,
 Gdzie wkrótce ja, narzeczony,
 Zamierzałem stanąć przy niej.

Aniele stróżu jej duszy,
 Święty mieszkańcze niebiosów,
 Zabierz mi pamięć mych losów,
 Pociesz mnie w strasznej katuszy!

Lecz gdzieś ty?... Piorun tej burzy,
 Co ją roztrzaskał, zapewne
 I ciebie stopił w łzy rzewne,
 Kiedyś dał zwiędnąć mej róży!...

ŁZY I GWIAZDY.

Z niebios lecą gwiazdy drżące,
 Z moich oczu łzy gorące..

Po kim z sfer swych się wydarły
 Łzy i gwiazdy?... Po umarłej!

Deszcz gwiazd jasnych, łez potoki
 Płyną smutnie w świat szeroki.

S M U T E K.

Każda trawka, każde kwiecie
 W słońca się promieniach nurza,
 Miłość — słońce w serca świecie
 Dla mej duszy się zachmurza.

Mnie nie kocha dziewczę ładne
 I nie mówi do mnie żadne:
 „Ziębił świat twe serce młode,
 Chodź, powrócę doń pogodę!”

Silą bratniego ramienia
 Nikt mej głowy nie podpira,
 Krwawego potu strumienia
 Nikt mi z czoła nie ociera

Jestem sam, jak te pnie drzewne,
 Odarte przez wichry gniewne,
 Gośćmi memi tylko roje
 Czarnych kruków — myśli moje.

Dni sieroce moje płyną
 W samotności, opuszczeniu,
 Czuję, że me siły giną
 W bladej śmierci uściśnieniu.

A gdy skończę dni tułacze,
 To nikt po mnie nie zapłacze,
 Nie zasadzi białej róży
 W ziemi co za grób posłuży.

Zgniję nędznie w życia wiośnie,
 W zimnej ziemi, mej kolebce,
 Na mym grobie trawa wzrośnie,
 Żaden pątnik jej nie zdepcze.

Tylko burza z piorunami
 Przyjdzie płakać swemi łzami,
 Pozna bowiem brata, druha,
 W wielkiej burzy mego ducha.

S Z A L O N Y.

.... Co znaczą te hałas?...

Idźcie ztąd sobie precz!...

Jam zajęty robotą!... robię wielką rzecz!...

Różgę z promieni słońca pociętych na pasy!...

Tą różgą ognia będę świat ten cały grzmocił...

Pęknę ze śmiechu, widząc go we łzach!...

Tak jak on śmiał się, gdy ja krwią się pocił..

Ah! ah! ah!

Życie jest śmiechem pustym, albo łzawą strugą,

Aż śmierć zawoła: sza!

I ja też umrzeć mam niedługo,

Bo ludzi zgraja zła

Wypiła wino moje i trucizny wlała...

I potem jeszcze niegodni,

Dla ukrycia swojej zbrodni,

Gdy trucizna mną zachwiała,

Rzucili się na me ciało!...

Oh! pomszczę się na kpach!...

Zerwę się i gryźć zacznę...

Nie! inną zemstę wymyśliłem piękną:

Niech je pożrą i niech pękną...

Ah! ah! ah!

Gdzież to mnie pochowali?... O!... wszak to Afryka!...

Co za szczęśliwy traf!...

Zdarła hyena dzika

Z nad ciała pokład traw,

Ja za ten dobry czyn ją oszukałem!...

Chciała mi odgryźć nogę

I ręce aż do pach,

Ja jej serce moje dałem

I otrułem niem niebogę!...

Ah! ah! ah!

Niech mą naukę!... Zawsze bywa tak

Tym co się dobrem kierują zachceniem...

Bo czem jest człowiek?... Mówię że korzeniem

Kwiatu co głowa dąży w niebios szlak...

To fałsz okrutny!...

Człowiek jest kwiatem, lecz jego korzenie

Jako sok piekła wciągają płomienie...

Mówił mi to filozof... szalenie wierutny,

Co liście lasu miał za dach

I umarł z głodu, śmiercią srogą...

To głupiec!... nie mógł okraść albo zabić kogo?...

Ah! ah! ah!

Ha! śmieję się jak szalony,

Choć właściwsze może łyzy...

Co?... jabym płakał na ten świat tak zły?...

Tak często Bóg rozżalony

Z oczu chmur płacze, że świat tak zepsuty...

Skoro łyzy spadną na ziemię

Cóż z nich robi ludzkie plemię?...

Porozdeptują je buty

I po wylanych z szczodrota

Niebios łyżach

Cóż zostaje?... brudne błoto!...

Ah! ah! ah!

Niebo, to żołnierz dymisyonowany,
 Jasne słońce na piersiach ma za znak zasługi,
 Chmury, to jego łachmany...
 Tak to u ludzi, po służbie długiej
 I rozwianych chwały snach,
 Wychodzą ci co wielkie oddali usługi,
 Unosząc krzyż zaszczytny i mundur łatany...
 Ah! ah! ah!

A słyszeliście jak w języku ludzi
 Ptak leśny śpiewa: *pipity pelety*...
 Dźwięki te znaczą: „bójcie się kobiety!”
 Kobieta wabi człowieka,
 Jak ocean wody rzek,
 Po co?... by w niej utonął jako w morzu rzeka...
 Piękna, w długie strojna sploty,
 Gdyś niebacznie w potrzask wbiegł
 Podaje ci truciznę w czarze szczerozłotej...
 O! ja piłem z takiej czary!...
 Rosy jej kropelka mała
 Stokroć większą słodycz miała
 Niż całe niebo zmienione w nektary!...
 Lecz jej kropelka najmniejsza
 Tysiąckroć jest śmiertelniejsza
 Niż całe morze przemienione w jad!...
 Czy widzieliście wy morze,
 Gdy grzbiet jego burza orze
 I zasiewa śmierci kwiat?...
 Tę burzę czyście widzieli w swych snach
 Tego rolnika na bezdennym smugu,
 Z ręką na błyskawicy jakoby na pługu?
 Ah! ah! ah!

Kiedy owoc dojrzeje, to upada z drzewa...
 Świat dojrzał, więc upadku niechaj się spodziewa...

Dobrze! aż do jutra czekam,
 Aby widzieć sąd ostatni...

W skałach, do środka ziemi szczelinę wysiekam

I wsypię tam proch armatni,
 Zapalę lont
 I w jasnych skrach
 Poleci świat na straszny sąd..
 Ah! ah! ah!...

WIERSZ POSEPNY.

Oddalony jestem od mej drogiej,
 Lecz wciąż w sercu obraz mam jej twarzy,
 I jej miłość wiedzie mnie wśród drogi,
 Jako gwiazda trzech wschodu mocarzy.

Odejdź gwiazdo, opuść mnie miłości,
 Noga moja w smutne strony kroczy,
 Nie powinnaś widzieć ludzkiej złości...
 Chcesz pozostać?... chodź... zawiążę-ć oczy.

Wieczór cudny, cisza błoga wszędzie,
 Jasne niebo chmurkami się bieli,
 Cóż te chmurki?... czy to są łabędzie,
 Czy też dusze tych co tu zginęli?...

Spokój wszędzie, a ja idąc marzę,
 Okiem wodzę po tem błoniu całym,
 Bom tu rzucił zdrajcom klątwę w twarze
 I najświętszą łzę mą wyplakałem.

S T E F A N D Z I K I .

P O E M A T .

I.

Już od dawna zaszło słońce złote,
Lud rybaczy skończył swą robotę,
I po pracy dziennej legł na łożo,
Stefan Dziki tylko spać nie może.

„Ej, Stefanie! powiedz co cię
Tak wybija ze snu po robocie?...”
Gdyby kto mu zadał to pytanie,
„Miłość! miłość!” — odrzekłby on na nie.

Księżyc z po za ciemnych chmur wybiega,
Stefan odpiął kódkę swą od brzegu,
Wiosłem zmacił rzecznych fal pogodę
I popłynął na szeroką wodę.

Jako ogród na Dunaju fali
Kwitnie wyspa tam pośrodku, wdali,
A tej wyspy najpiękniejsze kwiecie,
To rybaka starca cudne dziecię.

W chacie z trzciny, szubą swą przykryty,
Stary rybak śpi już jak zabity,
Ale córka jego w nocy cieniu
Na Stefana czeka na przedsieniu.

Nurty rzeki przepłynawszy śmiało,
Zastał Stefan swoją różę białą.

Całus... drugi... Lecz sza o tem! cicho!...
Poco zazdrość budzić?... Niech śpi lichu!

Ust dziewczęcych uścisk ma moc wina,
Człek w nim prędko siebie zapomina,
Stefanowi też zawrzała głowa
I dziwaczne zaczął prawie słowa.

„Lidi, duszo! mojaś ty pieszczota,
Kwiat, gołąbka, rybka moja złota,
Blask dyamentu, gwiazda promieniująca!...
Całuj na śmierć, aż do wschodu słońca.

„Czarna rzęsa twa, niebieskie oko...
Tyś jak niebo to, co tam wysoko
Kędy błękit wśród chmur widać w górze...
Twe wejrzenie... gwiazdka na lazurze...

„Gdyby splótkł kto razem wszystko kwiecie,
Jakie rośnie gdzie na całym świecie,
W jeden wieniec, byłoby go mało,
Żeby objąć moją miłość całą.

„Nie ma ona granic ani końca ..
Czyliż twoja równie jest gorąca?
Oh! bo gdybym dostrzegł, że upada,
Biada tobie, dziewczę! i mnie biada!

„Tutaj, patrzaj, olbrzym śpi w mem łonie,
Tym olbrzymem zemsta co w niem płonie,
Gdy niewierność, zdrada go ocuci -
Mnie i ciebie zgubi w krwawej chuci“.

Tak przemawiał rybak. Lidi słucha,
 Z ócz jej w serce płynie mu otucha,
 Bo spojrzaniem przemawiają one:
 „Me uczucia również nieskończone“.

Długo jeszcze trwała mowa taka,
 Aż wtem słowik się odezwał z krzaka,
 Choć to może nie był śpiew słowicy,
 Tylko bicie serc pełnych słodyczy.

Świt nadchodzi, rozstać się już pora,
 Więc wyrzekli słodkie „do wieczora“.
 Rybak wraca na brzeg do swej łodzi,
 Do ojcowskiej chaty dziewczę wchodzi.

Cicha była cała okolica,
 Księżyc ukrył pod widnokrąg lica,
 Gwiazd na niebie mniej dostrzega oko,
 Mleczna droga świeci wciąż wysoko.

Śpi rybacza karczma w tej godzinie,
 Wietrzyk nawet nie szeleści w trzcinie,
 Tylko fala, która łódkę niosła
 Szumi, bryzga od uderzeń wiosła.

II.

Targ nazajutrz w blizkiej był mieścinie;
 Rybak ryby wioził i rzekł dziewczynie:
 „Może pójdziesz do miasteczka ze mną?“
 „Dobrze ojcze, gdy to wam przyjemno“.

Poszli tedy, ubiór wzięwszy nowy...
 A jak na złość był to dzień piątkowy!...
 Lidi w mieście pierwszy raz być miała,
 Więc się czegoś piątku obawiała.

Myśleć jednak o tem zbrakło czasu;
 W mieście pełnem gwaru i hałasu,
 Gdzie się strojni kręcili pankowie
 I dziewczęta piękne co się zowie.

Jeden śliczny panicz rzecze do niej;
 „Piękny kwiatku, w jakiej rośniesz błoni?“
 „Jako pigwa wzrosłam na wysepce
 Wśród Dunaju“,—dziewcze na to szepce.

„Jam to zaraz poznał po twej mowie,
 Bom sam ztamtąd“,—panicz jej odpowie,—
 „Masz już chłopca?... powiedz, moje dziecię!...
 Chcesz, pokocham cię jak nikt na świecie“.

„Czy mam skarb mój?—Lidi na to rzecze,—
 Kto chce prawdy, łatwo jej dociecze.
 Pocóżbym się z tego spowiadała?
 Są cyganki na to, jest kabała“.

Odszedł panicz, odprawiony z niczem,
 Ale Lidi spojrzeć za paniczem
 Korci jakaś chętką niepojęta,
 Więc ukradkiem zwraca nań oczęta.

III.

W kilka niedziel potem swym zwyczajem
 Siadła sobie Lidi nad Dunajem,
 Sieć wiązała i goniła wzrokiem
 To za falą, to znów za obłokiem.

Aż nareszcie słońce się zniżyło
 I jaskrawiej złote bzy złociło,
 Zakrwawiło niebo na zachodzie
 I szkarłatny odcień dało wodzie.

Lidi wiąże sieć oko po oku,
 Wtem coś w krzaku zaszeleści z boku.
 Cóż to?... kto to?... Jakiś strzelec młody
 Z poza krzaku wyszedł nad brzeg wody.

„Co tu robisz?”—pyta.—„Czyście ślepi?
 Sieci wiązę... przyjrzyjcież się lepiej“.
 Nie zraziła chłopca ta odprawa,
 Jeszcze bliżej przy dziewczynie stawa.

„Czy poznajesz mnie?... czyś zapomniała,
 Żeś już kiedyś ze mną rozmawiała,
 Żem cię spotkał w mieście, luby kwiecie?
 Czy pamiętasz o tem, powiedz dziecię?“

Lidi rzekła: „Być to może, żeście
 Mnie widzieli w dzień targowy w mieście,
 To piękności waszej widać wina,
 Że kto ujrzy wnet was zapomina“.

Tak na każde nowe strzelca słowo
 Ma odprawę Lidi wnet gotową,
 Lecz choć słowa jej tak ostre były,
 On się o to gniewać nie miał siły.

Nagle zamilkł strzelec przestraszony,
 Noc zaległa wszystkie świata strony.
 „Miłe dziewczę,—rzekł zmieszany do niej,—
 Wiesz, zgubiłem drogę w tej ustroni.

„Teraz straszna czeka mnie przeprawa,
 Więc się zlituj, piękna... bądź łaskawa,
 Stań się gwiazdą mą do końca lasu,
 Lub do domu, gdy masz dosyć czasu“.

Pomyślała Lidi nad żądaniem,
 Panicz z takim prosił ją błaganiem,
 Tak gorąco, z twarzą taką smutną...
 Czyliż miała wciąż dlań być okrutną?...

„Nie wypada znów go dręczyć tyle“,—
 Rzekła sobie, podumawszy chwilę.
 Strzelec czekał z miną tak żałosną...
 Więc spojrzała nań i rzekła głośno:

„Chodźcie panie, ja wam wskażę drogę,
 Iść do krańca lasu z wami mogę,
 Lecz nie dalej,—dość i tego będzie,
 Bo do plotek ludzie skłonni wszędzie“.

Poszli... Kiedy Lidi powróciła,
 Już ją Stefan czekał czasu siła.

Spytał jej się: „Gdzież to byłaś, rybko?”
Nie wiedziała co mu odrzec szybko.

IV.

Lidi, zwykle miła, słodka, żywa,
Tak zmieszana była, niecierpliwa,
Że tą zmianą Stefan zadziwiony
Uczuł w sercu podejrzenia szpony.

Podejrzenie dziwnem jest dziewczęciem:
Ledwie na świat przyjdzie niemowlęciem,
Już chce karmi w rąbek upowite,
A w potwora wzrasta wnet gdy syte.

Stefan nie dał swych domysłów znaku,
Lecz nazajutrz wieczór skrył się w krzaku,
Nieopodal od rybaczej chaty
I, nie wiedząc czemu, zaczął czaty.

Krótko czekał. Panicz wnet się zjawił,
Uśmiechnięty słodkie słówka prawił.
Lidi słucha, rada choć zmieszana...
Wściekłość, rozpacz szarpia pierś Stefana.

Gdybyż dziewczę tylko słów słuchało!...
Lecz wnet panicz rączkę Lidi małą
Ujął, ścisnął wiodąc ją w ustronie,
Stefan piekło całe uczuł w łonie.

Skoczył z miejsca, pobiegł, wrzasnął: „Strzelcze
Zbójco! łotrzel! nędzny psiel! wisielcze!

Czekaj, wnet cię spotka kara boża!...“
I w szalonym gniewie dobył noża.

I wymierzył paniczowi w łono,
Ten się strzelbą bronił podniesioną,
Aż Stefana tak uderzył w ciemię,
Że się biedny zachwiał, padł na ziemię.

Gdy do siebie przyszedł, otrzeźwiony
Próżno rzucał okiem w wszystkie strony,
Strzelca, Lidi wcale już nie było,
Więc pomyślał: „Chyba mi się śniło“.

Ból poświadczył, że nie marzył we śnie,
Więc stał długo smutny, łkał boleśnie,
A po twarzy ciekła mu strugami
Krew gorąca pomieszana z łzami.

V.

Strzelec odtąd z wszelką już swobodą
Mógł odwiedzać codzień Lidi młodą,
Bez obawy zamsty i napadu...
Stefan Dziki przepadł gdzieś bez śladu.

Pragnął straszny ból co serce gniecie
Gdzieś przeboleć na szerokim świecie,
I dla duszy krwawo rozżalonej
Znaleźć ulgę w ziemi oddalonej.

Spojrząc za się nie miał sił i czasu,
Szedł aż stanął wpośród Bakoń-lasu.

Tam w gęstwinie jego nieprzejrzanej
Pod wyniosłym dębem siadł znękany.

Chociaż ciało jego spoczywało,
Nic ukoić ducha nie zdołało,
Ciało było jeziorem duch rybką
Na dnie cichych fal płynącą szybko.

„Będę zbójcą, strachem okolicy,
Aż doczekam kiedyś szubienicy,
Oh! bo lepiej zginąć z ręki kata,
Niż żyć kiedy los struł młode lata“.

- I puściwszy swej rozpaczy wodze,
Stefan Dziki siadł przy leśnej drodze.
Czekał ludzi. Miał odwagę wielką,
Nie trza było krzepić jej butelką.

Wkrótce lasem jechał pan bogaty,
Powóz cztery ciągnęły bachmaty,
Suknie pana od przepychu świecą,
A na koźle hajduk wraz z woźnicą.

„Stójcie!—wrzasnął Stefan Dziki śmieie,—
Ani kroku dalej, bo w łeb strzele!“
Na pogroźkę taką strachem zdjęci.
Pan i słudzy stają jak zakłęci.

Stefan przyszedł do nich z miną butną,
Trząśł kieszenie aż zostało płótno,
Zabrał wszystko, długo się nie bawił,
Na szklanicę wina nie zostawił.

„Teraz jedźcie! mam już dość połowu!“
 Więc ruszyli,—or ich wstrzymał znowu.
 Gdy woźnica stanął przestraszony,
 Rzekł: „Na zbójcę-m widać nie stworzony...”

„Swe pieniądze weźcie nazad, panie“.
 Oddał złoto. Pan spogląda na nie,
 I zdziwiony nawet go nie tyka,
 Myśląc że to żarty rozbójnika.

Lecz to nie był żaden żart Stefana,
 Rzucił łupy, odszedł precz od pana,
 Poszedł dalej, poświstując w drodze,
 Choć go straszna boleść gniotła srodze.

VI.

Dokąd śpieszył tak?... Nie pytał drogi,
 Szedł wciąż prosto, gdzie go niosły nogi,
 Nie dbał czyli z kraju czy do kraju,
 I tak przyszedł aż nad brzeg Dunaju.

Los chciał, że to było w miejscu takim
 Gdzie miał chatę kiedyś, był rybakiem,
 Zkąd na wyspę się przeprawiał do niej,
 A więc westchnął i twarz ukrył w dłoni.

„Lidi! Lidi! czemuś mnie zdradziła!...
 Może ty już dziś, gołąbko miła,
 Opłakałaś swoją ciężką winę
 I męczarnie te od których ginę?...”

„Gdybym wiedział, że żałujesz, dziecię,
 Oh! wszystkiego zapomniałbym w świecie,
 Tylko przyrzecz być na przyszłość wierną,
 Bo ma miłość, Lidi, jest niezmierną“.

Tak pomyślał i do łódki wbiega,
 Bierze wiosło, odbić chce od brzegu,
 I popłynąć tam, do swej jedynej,
 By jej przynieść przebaczenia winy.

Lecz nim wiosłem dotknął się do fali,
 Ten głos za nim dał się słyszeć z dali:
 „Przyjacielu! zabierz nas do łodzi,
 Nagrodzimy za to, jak się godzi“.

Stefan mało nie wpadł w prąd Dunaju.
 Kogóż ujrzał na wybrzeża skraju?...
 Ujrzał Lidi, strzelca przy jej boku
 I oboje poznał mimo zmroku.

Opamiętał się jednakże. Młodzi
 Wsiedli szybko do niewielkiej łodzi,
 Nie poznali go aż w czółnie byli,
 Łatwo pojąć jak się przestraszyli.

Stefan odbił szybko łódź na wodę,
 Pobladł strzelec, zbladło dziewczę młode,
 Pomieszani, trwożni, nie wiedzieli
 Jak postąpić, co przemówić mieli.

Stefan milczał, robiąc wiosłem krzepko,
 Już miał czółnem zetknąć się z wysepką,

Nagle stanął krótką chwilę... potem
Znów wiosłować zaczął, lecz z powrotem.

„Cóż to?... wracasz?...—krzyknął strzelec blady.
Stefan odrzekł: „Wracam, nie ma rady...
Popłyniemy do Dunaju środka;
Tam kto winny tego kara spotka“.

Ledwie wyrzekł już na środku byli,
Więc w prąd rzucił wiosło i po chwili
Straszny, dziki, groźny stał przed niemi,
Oni drżeli przerażeni, niemi.

„Uprzykrzyło mi się nędzne życie,
A przez kogo?... o! wy dobrze wiecie!...
Chcę je skończyć... śmierci się nie boję...
Chodźcie ze mną w inny świat oboje“.

Rzekł i czółno objął w silne dłonie,
Wszystko troje wpadli w rzeki tonie...
Lidi w nurtach jego się trzymała,
Jakby życie z nim zakończyć chciała.

Ale Stefan ujrzał wkrótce w dali,
Że wypłynął strzelec na grzbiet fali,
Domknął, chwycił go w ramiona swoje
I pod wodą znikli wszystko troje.

ŻONA I PAŁASZ.

Biała gołąbka buja nad mą strzechą
 I gwiazdka mała świeci na błękiecie,
 Ja w chatce mojej z weselem, pociechą
 Dumam z mą żoną droższą mi nad życie,
 I tak najmilszą, jedyną na ziemi
 Trzymam swojemi objawszy ramiony,
 Jak młode drzewko gałęzmi drżącemi
 Pieści kropelki rosy ulubionej.

A w takiej chwili szczęścia, upojenia,
 Za którą warto oddać żywot cały,
 Czyliż rozmierzam moje uniesienia,
 Liczę uściski i ważę zapamiętały?...
 Gwarzymy, mówię do mojej szczebiotki,
 Lecz pogadanka rozkoszna i żywa
 Oprócz słów mieści ten miód uczuć słodki,
 Co się w namiętne uściski rozpląwa.

Rozkosze nasze wielkie i szlachetne
 I radość wspólna jest czystą i świętą,
 A szczęście nasze tak jasne i świetne,
 Żeby za perłę przeczystą je wzięto...
 Lecz na ten szczęścia czar nieporównany
 Spogląda dziwnie mój pałasz hartowny,
 I rzuca na mnie samotny ze ściany
 Wzrok, w którym czytam smutek niewymowny,

No, cóż tam, stary? cóż to za spojrzenie?
 Dlaczegoś taki smutny i żałośny?...

Czyliż się boisz popaść w zapomnienie,
 Czy jesteś szczęścia mego zazdrosny?...
 Fe! wstydz się, wierny towarzyszu doli,
 To nie twa sprawa, tyś mężczyzną przecie,
 Pozwól dopełnić spokojnie swej roli
 Kochać jedynie mogącej kobiecie.

Zaprawdę, dąsać się nie masz przyczyny,
 Ani narzekać żalospnemi tony,
 Boś znać powinien serce mej jedynej,
 Boś znać powinien duszę mojej żony,
 Boś już oddawna winien wiedzieć przecie,
 Ile potęgi to jej serce mieści,
 I że Bóg dobry nie często na świecie
 Daje tak dzielny hart duszy niewieściej.

W Z I M I E.

Na ziemi śnieg, na niebie czarne chmury...

Ha! jeśli tak, to cóż?...

To już zwyczajny bieg natury,

A przytem zimę mamy już...

Ja i o zimie tej ponurej

Bardzobym wiedzieć mógł niewiele,

Lecz czasem zbliżka, tuż,

Śnieżne mi płaty w okno ścięle.

Mam ciepły kąt i w nim z przyjaciół gronem,

Ująwszy czarę w dłoni,

Napełniam winem zapienionem,

Zrodzonym wśród Egeru błoń.

Przy winie mojem ulubionem,
 Wśród dobrych ludzi, szczęście czuję,
 Cóż więcej żądać doń?...
 Wezbrana dusza się raduje.

Gdybym na śnieg, co leży tam w około
 Pod ten zimowy czas,
 Rozlał mą radość, zimy czoło
 Przystroiłby różany las...
 A gdybym duszę mą wesołą
 Zawiesił w pośród nieb przestrzeni,
 Blask słońc i gwiazd by zgasił
 Przy świetle ciepłych jej promieni.

Zwątpienie precz!—odpędźmy myśli czarne,
 Śmiech rzadki gość wśród nas,
 Niech wstąpi radość w grono gwarne,
 Przynajmniej dziś, przynajmniej raz!
 Na co się zda lać lzy cmentarne?
 Trwonilibym tylko kwilać wiecznie
 I lzy i pieśń i czas,
 Nie płaczmy więc bezużytecznie!

Odpędźmy więc najdalej, precz od siebie
 Rój łzawy smutnych mar,
 Niech każdy smutki swe zagrziebie
 W przezroczej głębi ślniących czar!
 Więc bracie lej przez Boga w niebie
 Do szklanki wina ile zmieszczę,
 Chcę zgasić piersi żar!...
 Wypiłem już!... nalewaj jeszcze!...

OCEAN SIĘ PRZEBUDZIŁ.

Ocean ludów zbezwładniały
 Ze snu ciężkiego zbudził się...
 Niebiosa z ziemią wraz zadrżały,
 Bo w strasznym gniewie fale swe
 Aż pod najwyższe chmury śle.

Czyście widzieli jego tany,
 Słyszeli dźwięk tej pieśni nut?
 Zobaczcie ten niespodziewany,
 Ten niepojęty dla was cud,
 Zobaczcie jak się bawi lud!

Ocean ryczy, jego łono
 Wstrząsa okrętem, drży i wre,
 Pędzi go w przepaść niezgłębioną,
 Wyniosłe maszty w drzazgi trze,
 Rozpięte żagle w szmaty drze!

O trwaj w swym gniewie oceanie,
 Wszechświat potopem krwawym strasz,
 Pokaż mu głębin swych otchłanie,
 Podnoś się wyżej, wciąż, aż dasz
 Wściekłości pianą chmurom w twarz.

O trwaj w swym gniewie, falą siną
 Gmachy przesądnych złudzeń zwal,
 Wskaż, że choć fale nisko płyną,
 A okręt po nich sunie w dal,
 On zawsze jest na łasce fal!...

C U D B O Ź Y.

Gdy karty dziejów się odsłonią,
 Cóż widzimy wśród dziejowej mgły?...
 Widzimy że zawsze własną dłonią
 W swe serce sztylet kładliśmy!
 Oh! gdy od ciosu bratobójczych noży
 Kraj nasz nie zginął, to tylko cud boży!

Nikt nie zabliznił krwawej szramy,
 Zadanej nam od setnych lat,
 Bo gdy kto na nią lał balsamy,
 Myśmy mu w gardło leli jad...
 Zawsze błąd własny klęski nasze mnoży,
 Gdy kraj nie zginął, to tylko cud boży!

Szarpiem się ciągle w czczym hałasie,
 Jako na kupie śmieci psy,
 I spostrzegamy po niewczasie,
 Że po nad nami stoją lwy,
 Tatar nas gnębi, turczyn nas batoży,
 Gdy kraj nie zginął, to tylko cud boży.

Tam oto Mohacz, gdzie zwałony
 Z konia nasz król w kałużę padł,
 Wróg ujął jego miecz skrwawiony
 I przeciw nam obrócił rad,
 Wszystko nam nieszczęść, klęsk i ruin sporzy,
 Że kraj nie zginął, to tylko cud boży.

A teraz, dzisiaj cóż poczniemy?
 Któraż trza wybrać z licznych dróg?

Ślepoż w los ufać wciąż będziemy?
 Nie zbawi nas sam tylko Bóg.
 Niechaj i ludzka siła się przyłoży,
 Że kraj nie zginął, to tylko cud boży.

DO VÖRÖSMÁRTEGO.

Mam dać milczeć mej żalobie,
 Że jak ojca cię kochałem?...
 Nie!... wybuchnę słowem śmiałem,
 Choć z bólem przeciw tobie;—
 W niebo moja pieśń zawoła,
 By wstrzymało cię nad tonią...
 Nie rwę laurów z twego czoła,
 Ty je własną zrywasz dłonią!

Czyś narzędzie stłukł pieśniarza
 I pokalał swe natchnienia?
 Czyż kłamały twoje pienia,
 Czy dziś głos twój je znieważa?
 Błoto plami cię dokoła,
 Zamiast krwawych plam nad skronią...
 Nie rwę laurów z twego czoła,
 Ty je własną zrywasz dłonią.

Patrzaj!... orzeł srebrno-szpony
 Spadł na ziemię... Jak wspaniały!...
 A widziałeś jak był mały
 Gdy w zachmurne wzbił się strony?...
 Tyś na ziemi mały zgoła,
 Wielkiś z chmurną mknąc pogonią...

Nie rwę laurów z twego czoła,
Ty je własną zrywasz dłonią.

Kiedy kraj odpędził śmieie
Sny marzące, drzemne zmyry
I porzucił nędzne tory,
Aby wyższe ścigać cele,—
Twój to głos go nazad woła,
By nad błotną stanął tonią...
Nie rwę laurów z twego czoła,
Ty je własną zrywasz dłonią!...

Znikłeś w marnej nędznych wrzawie,
Większość słabych ci pomaga,—
Lecz czem liczba i przewaga?
Tyś był winien trwać przy sprawie!—
Gdy stać przy niej wieszcz nie zdoła,
Któż dbać więcej będzie o nią?...
Nie rwę laurów z twego czoła,
Ty je własną zrywasz dłonią!...

Tobie, wieszczu, coś rodzinny
Kraj, „Pobudki“ swej odgłosem
Wezwał na bój śmiały z losem,
Tobie dziś głos przystał inny.
Od tych dróg, gdzie głos twój woła,
Twoje własne drogi stronią...
Nie rwę laurów z twego czoła,
Ty je własną zrywasz dłonią!...

Wielkim wielką cześć oddajem,
Vörösmärty, lecz twe imię

Przemknie nikłe, choć olbrzymie,
 Jak meteor po nad krajem!...
 Gwiazdę spadłą z światła koła
 Smutnych łez żegnamy tonią...
 Nie rwę laurów z twego czoła,
 Ty je własną zrywasz dłonią!...

WIOSNA 1849.

Młoda wiosno, starej zimy dziecię,
 Dziecię świetne wróżące nadzieje,
 Gdzież więc jesteś?... Dlaczego po świecie
 Płaszcz królewski twój nie promienieje?

Przyjdź o wiosno!—Twoi przyjaciele
 Już cię dawno zwiem na łany nasze,
 Niech twój uśmiech promienny rozściele
 Na gałęziach liściaste szalase.

Córka twoja, jutrzienka, ze łzami
 Oczekując ciebie, z bólu pada...
 Matko! przyjdź ją leczyć uściskami,
 Spójrzyj na nią jak wąż i błada.

Przyjdź, błogosław nasze stopy, wiosno,
 Szare nasze błogosław niebiosą,
 Ulecz zorzę... niechaj łąką radosną
 Zwilży ziemię naszą, złotowłosa.

Wróc przestworzom wesołe ptaszęta,
 Co pieśniarzom podszeptują pienia,

I swym śpiewem uczą niemowlęta
Najświętszego Wolności imienia.

Lecz nad wszystko, co przyniesiesz w darze,
Przynieś kwiatów wiosno, kwiatów wiele,
Niech dłoń twoja szczodra po obszarze
Ziemi naszej mnóstwo ich rozściele.

OB DARCI RYCERZE.

I ja bym umiał wiersze moje
Przystroić blaskiem świetnych szat,
Na pańskie posłać je podwoje
W wir towarzystwa, w wielki świat.

Lecz nie skrepuję ich zapału
O strój wytworny pragnąc dbać,
Rąk marmurowych i ideału
Nie myślę w rękawiczki pchać.

Nie grzmia dziś działa, dźwięki mieczy
Ucichły, w kątach żre je rdza,
Ale trwa wieczny bój człowieka,
Idei walka wieczna trwa.

Z orszakiem licznym, zbrojnym szykiem
I ja w ten wielki ruszam bój,
I walczę pieśnią... Zapasnikiem —
Rycerzem jest wiersz każdy mój.

Chociaż obdarci to szermierze,
 Lecz mężnie walczyć idą w świat,
 Bo tylko dzielność czci rycerze
 A nie wytworność barw i szat.

Więc ślę je w bój, — a myśl nie bada
 Czy po mym zgonie będą trwać,
 Wróg czy duch czasu śmierć im zada,
 Snem wiecznym błogo będą spać.

JAK SIĘ MADYAR BAWI.

Bóg jest oddawna na madyara w gniewie,
 Przyszłość mu zakrył chwilami czarnemi,
 Czy szczęście będzie kiedy w jego ziemi?
 Śmiać się, czy płakać winien?—madyar nie wie.

Lecz jeśli innych Bóg skąpi mu darów,
 Dał mu czem zabić ponurą tęsknicę:
 Gdzież lepsze wino i gdzie są dziewice
 Więcej uroczę niż w ziemi madyarów?

Pójdź dziewczę! ramię me niech cię uściśnie,
 Niech nasze serca i usta się spoją,
 Niechaj twój uścisk smutki co się roją
 W czarnych głębinach mej duszy rozprysnie.

A wino!... Wina prędzej niech mi dadzą,
 Niech płacze we mnie łez czerwonych falą,
 Łez co jak iskry piorunowe palą
 I martwych wskrzesić mogą swoją władzą.

A teraz skrzypce!... Cyganie graj zwawiej!
 Płacę ci, szczerze!... graj!... niechaj utonie
 Smutek mój cały w skocznych dźwięków łonie!...
 Niech wie wesołość!... tak się madyar bawi!

M A R Z E N I E.

Petőfi, ty się nie boisz wcale
 Żeby się kiedyś miały twe bary
 Uginać z trudu, pod temi dary
 Któreć los ześle w szczodrym zapale.

Za całe mienie twoje widocznie
 Los ci dał tylko tę lirę twoją,
 I dźwięki w jakie dłonie twe stroją
 Jej struny łzawo, tęsknie lub skocznie.

Przypuść jednakże że wieszczki słowo
 W ten sposób mówi do ciebie z nieba:
 „No cóż, mój synu, czego ci trzeba?
 Mów, ja dać wszystko jestem gotową.

„Ja cię mych wdzięków czarem przystroję,
 I dam ci dar ten nieoceniony,
 Że co zażąda twój wiersz natchniony,
 Spełni się zaraz i będzie twoje.

„Jeżeli pragniesz sławy, rozgłosu
 Niech każdy wiersz twój w laur się zamieni,
 Petrarki wieniec niechaj ocieni
 Twe czoło godne takiego losu.

„Wszak mistrz Petrarka i mistrz Petöfi
Są już jak sądzę nieco pokrewni,
Więc mogą przystać dwaj mistrze śpiewni,
Że wspólny wieniec skroń ich utrefi.

„Jeżeli bogactw chcesz, synu drogi,
Niech się w rząd pereł zmieni bogaty
Każdy z twych wierszy... i niech twe szaty
Błyskają niemi i twe ostrogi!“

No cóżbyś odrzekł, gdybyś te słowa
Słyszał do siebie z nieb wymówione?
Ach! wiem! odgadłem twą słabą stronę,
Wiem co się w głębi twych marzeń chowa.

Tak, odpowiedziałbyś bezwątpienia:

„Chwała i skarby dobre — to!... Jużci
Nikt nie uwierzy i nie przypuści,
Żebym takiego nie miał życzenia...

„Lecz wróżko, jeśli twój dar łaskawy
Twojami nawet stroi mnie wdzięki,
Pozwól że będę żądał z twej ręki
Czegoś większego od skarbów, sławy.

„Czegoś, do czego serce me płonie
Ogniem namiętym i nie zgaszonym,
Jak gwiazda, która na niezmiernym
I nie objętym łśni nieboskłonie,

Chciej mi dać, jako dar swój jedyny,
Potrzask i klatkę ubraną w kwiatki,
Złapię potrzaskiem, wsadzę do klatki
Ptaszynę, — serce mojej dziewczyny“.

WIERSZ ROZPACZNY.

Umarł... kto?... cóż po imieniu?
Nie nazwisko nie stanowi!
Człek bez skazy na sumieniu,
Znany światu i krajowi...
Ślub uczynił i dochował,
Nigdy wody nie skosztował.

Spocząć w grobie ma on prawo,
Nim na straszny sąd się zbudzi...
Złożył głowę pod murawą,
Grzech sumienia mu nie brudzi:
Wodę brał do mycia ciała,
Lecz mu w gardle nie powstała.

Kiedy wina skutkiem suszy
Obrodziły nieobficie,
To dla męża wielkiej duszy,
Był cios straszny, cios nad życie,
Pragnął wciąż odwilżać usta,
piwnica była pusta.

Tak zacnego męża strata
Dla mnie wróżbą jest złowrogą,
Bo ubogie w wino lata,
Za mych czasów przyjść też mogą,
Wtedy tak jak ów mąż wielki
I ja skonam bez butelki.

NADZIEJA MATKI.

O najlepsza z matek ziemi
 Matko moja biedna, droga,
 Każe ci się dola sroga
 Z nadziejami rozstać swemi.

Puściłaś je na przestworze
 Jak Noe gołębie grono,
 Ale z gałązką zieloną
 Żadna powrócić nie może.

Ostatnią miałaś nadzieję,
 Że kiedy na śmierci łożo
 Padniesz zimna, syn twój może
 Łzami swemi cię rozgrzeje.

Pierzchły twych nadziei roje
 Te ci nawet odebrano
 Bo gdy stracił swą kochaną
 Syn twój łzy wypłakał swoje.

PIOSNKA PRZY WINIE.

Komu nie dał los kochanki
 Niechaj wino pije zdrojem,
 Zda mu się w objęciu swoim
 Najcudniejsze mieć niebianki.

I ten niech butelki suszy,
 Kto bez grosza jest przy duszy,

Zda mu się, że los szczodrotą
Dał mu wszystko ziemskie złoto.

I niech pije ten najwięcej
Kogo czarne dręczą troski,
Wygna smutek napój boski
Do szatanów stu tysięcy!

Nie mam złota ni kochanej,
Smutek tylko jest mi dany,
To potrójną jest przyczyną,
Bym śpiewał i pił wino.

B E T Y A R.

Szybkim wiatr jest na przestworzu i ptak wśród
[obszarów,

Szybką błyskawica,

Ale szybciej pędzi konno po stepie madyarów
Betyar latawica.

Skradł klacz rano w Kecskemęcie, a nim zmrok za-
[chodzi

Już z kradzieży plonem

Nie ulękły bystrą rzekę spiesznie w bród przechodzi
Aż pod Sent-Martონem.

Jutro sprzeda w Feherwarze klacz i chwilę spędzi

Na mohorycz w szynku,

Ledwie szklanke swą wysuszy, znowu konia zwędzi
Na tym samym rynku.

A pojutrze w Beczkerecie, wciąż w takiej ruchawce
 Goniąc za zdobyczą,
 Znajdzie się na innym koniu... na drewnianej ławce
 Gdzie różgami ćwiczą.

Z D A L E K A.

Tam w dolinie, nad Dunajem
 Stoi domek drogi mi,
 Łzy wylewam za tym rajem
 Kiedy serce o nim śni.

Och! trza było w nim pozostać
 Ale żądze ludzi rwą, —
 Moje miały orlą postać
 Więc rzuciłem chatkę swą.

Matka na mnie przed pochodem
 Żegnającą wzniosła dłoń,
 Jej łzy, perły ścięte lodem,
 Upadały na mą skroń.

Drząc ścisłała mnie w ramionach
 Mówiąc: „drogi! nie chodź w świat!”
 Och! o przyszłych marząc plonach
 Nie słuchałem matki rad.

Bo przyszłości kraj tajemny
 Nęci więcej młodzi rój, —
 Biegnie w ten labirynt ciemny
 Poznać późno zawód swój.

I jam zawiódł się jak wielu!
 W pośród zwałisk, w pośród burz
 Ciągłe próżno szukam celu
 Depczę ciernie zamiast róż!...

Przyjaciele w kraj mój spieszą,
 Cóż powiedzieć każę im?...
 Niechaj wstąpią i pocieszą
 Matkę moją w domku mym.

Że się życie me rozdzwiewło
 W najszcześniejszej doli dźwięk...
 Och! bo jej by serce pękło
 Gdyby mój słyszała jęk. —

M Ó J P E G A Z.

Pegazem moim nie angielski koń
 Wysmukły, wiotki, z szcudłowemi nogi
 Nie moim stępak meklemburskich błoń
 Niezdarny, wielki i ciężki do drogi.

Pegazem moim, kary jako mrok,
 Węgierski rumak, krwi madyarskiej czystej,
 Z rozkoszą słońce swój zatapia wzrok
 W zwierciedle jego sierści jedwabistej.

Nie w stajni zrodzon, nie przechodził szkół,
 Jak konie stadnin i zawodów pańskich,
 Wzrósł bez wędzidła, karmił stepnych ziół,
 Jam go na piaskach schwytał Kiszkumańskich.

I nie włożyłem siodła mu na grzbiet,
 Lecz tyłkom prostą okrył go derzycą
 A gdym go dosiadł, w lot się puścił wnet,
 O! bo mój kary krewny z błyskawicą!

Najchętniej zwykł on pędzić ze mną w step,
 Bo tam wzrósł dzielny, bo tam był zrodzony,
 Gdy w *Pustę* zmierzam, w górę wznosi łeb,
 Rzy; kopie, parska, wietrząc łan zielony.

Gdy dom napotkam w pośród pól i łąk,
 A przed nim dziewcząt jak pszczołek roje,
 To biorę kwiatek z najpiękniejszych rąk
 I jako wichur pędzę w stepy moje!

A w tym polocie na rumaku mym,
 Coby w świat inny na mój głos mknął cwałem,
 Łśni piana, para bucha zeń jak dym,
 Lecz nie znużeniem kipi on — zapałem!

O! nie tak prędko trud go zwali z nóg,
 I nie tak prędko zechce on wytchnienia,
 Bo wiele jeszcze przebyć muszę dróg,
 Nim dotrę granic mojego życzenia.

Więc pędź pegazie, koniu drogi pędź,
 Przez skały, rowy, naprzód, dalej, dłużej,
 Aż tam gdzie wszelka kończy się już chęć,
 Pędź mój pegazie, pędź na skrzydłach burzy.





SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
Proroctwo	3
Poezya.....	4
Moja fantazyja	5
Poeta i wino	7
Kraina miłości	8
Miłość i wolność	10
Moja miła (piosnka).....	11
Więc patrz!.....	12
Wysepka	13
Spotkanie w stepie	13
Karczmarka	15
Liliom Peti.....	16
Kłopoty spragnionego człowieka.....	17
Uwaga głodnego	18
Elegia księżycy	18
Chatka w lesie	20
Na ludową nutę	21
Pałac i chatka.....	24
Wieczór wiejski.....	26

	<i>Str.</i>
Życie błędne.....	28
Powóz o czterech wołach.....	30
Sąd ostateczny.....	31
Bawcie się!.....	31
Na grobie Etelki.....	32
Podzwonne.....	33
Łzy i gwiazdy.....	34
Smutek.....	34
Szałony.....	36
Wiersz posępny.....	39
Stefan Dziki (poemat).....	40
Żona i pałasz.....	52
W zimie.....	53
Ocean się przebudził.....	55
Cud Boży.....	56
Do Vörösmärtego.....	57
Wiosna 1849.....	59
Obdarci rycerze.....	60
Jak się Madyar bawi.....	61
Marzenie.....	62
Wiersz rozpaczny.....	64
Nadzieja Matki.....	65
Piosnka przy winie.....	65
Betyar.....	66
Z daleka.....	67
Mój Pegaz.....	68

